

Hans Christian Andersen

Towarzysz podróży

Biedny Jan był smutny, bo jego ojciec był bardzo chory i musiał umrzeć. W małym pokoiku nie było nikogo prócz nich dwóch. Lampa na stoliku dogasała, był bardzo późny wieczór.

- Byłeś dobrym synem, mój Janie! - powiedział chory ojciec. - Pan Bóg będzie ci dopomagał w życiu - spojrzał na niego poważnymi, łagodnymi oczami, głęboko westchnął i umarł. Zdawało się, że zasnął. Jan płakał, teraz nie miał już nikogo na całym świecie, ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata. Biedny Jan! Klęczał przed łóżkiem i całował rękę nieżywego ojca, i płakał obfitymi, słonymi łzami. Aż wreszcie zamknęły mu się oczy i zasnął z głową opartą o twardą poręcz łóżka.

Przyśnił mu się dziwny sen. Widział, jak mu się kłaniały słońce i księżyc, widział ojca zdrowego i rześkiego, słyszał jego śmiech, tak jak się zawsze śmiał, kiedy był z czegoś zadowolony. Piękna dziewczyna ze złotą koroną na długich ciemnych włosach wyciągnęła do Jana rękę, a ojciec powiedział: "Widzisz, jaką masz narzeczoną. Jest najładniejsza ze wszystkich dziewcząt na całym świecie!" Wtedy obudził się i wszystkie cuda znikły. Ojciec leżał w łóżku martwy i zimny; nie było przy nim nikogo, biedny Jan!

W tydzień potem pogrzebano nieboszczyka. Jan szedł tuż za trumną; nie mógł już widzieć swego dobrego ojca, który go tak kochał. Słyszał, jak sypali piasek na trumnę, widział już tylko ostatni jej rozek, ale przy następnej łopacie ziemi i ten skrawek zniknął. Wtedy tak się zasmucił, jak gdyby miało pęknąć mu serce. Dookoła niego śpiewali kościelną pieśń, brzmiało to tak pięknie, że oczy Jana napełniły się łzami; płakał i to koiło jego ból. Słońce oświetlało pięknie zielone drzewa, jak gdyby chciało powiedzieć: "Nie bądź taki smutny, Janie! Spójrz tylko, jakie niebo jest niebieskie, tam w górze jest twój ojciec i prosi Pana Boga, aby ci było zawsze dobrze."

- Chcę być zawsze dobry! - powiedział Jan - a potem pójdę do nieba do mego ojca, cóż to będzie za radość, kiedy się tam zobaczymy! Ile rzeczy mu opowiem, a on będzie mi tyle pokazywał, będzie mnie uczył o wszystkich pięknościach nieba, tak jak mnie uczył na ziemi. Ach, cóż to będzie za radość!

Jan wyobrażał to sobie tak wyraźnie, że myśląc o tym śmiał się, a łzy wciąż jeszcze spływały mu po policzkach. Małe ptaszki siedziały na górze na kasztanach i ćwierkały: "Kwiwit, kwiwit!"; były bardzo zadowolone, chociaż był to pogrzeb, ale wiedziały przecież, że nieboszczyk jest już w niebie, ma skrzydła o wiele ładniejsze i większe niż one, i wiedziały, że jest szczęśliwy, bo tu na ziemi był dobry. Dlatego też ptaszki się cieszyły. Jan widział, jak pofrunęły z zielonych drzew daleko w świat, i zachciało mu się również

polecieć wraz z nimi. Przedtem jednak wyciął z drzewa duży krzyż, aby go postawić na grobie ojca, a kiedy przyniósł go wieczorem na cmentarz, grób posypany był piaskiem i ubrany kwiatami. Zrobili to obcy ludzie, którzy bardzo kochali dobrego nieżyjącego ojca.

Nazajutrz wczesnym rankiem spakował Jan mały węzełek i schował do sakiewki za pasem cały odziedziczony po ojcu majątek, składający się z pięćdziesięciu talarów i paru srebrnych szylingów; z tym chciał ruszyć w świat. Przedtem poszedł na cmentarz na grób ojca, zmówił Ojczy nasz i powiedział:

- Żegnaj, drogi ojczy! Pragnę być zawsze dobrym człowiekiem, a ty powinienes tylko prosić Boga, aby mi się dobrze powodziło!

W polu, gdzie przechodził Jan, rosło w gorącym blasku słońca tyle świeżych, ślicznych kwiatów; chyliły się na wietrze ich głowy, tak jak gdyby chciały powiedzieć: "Witaj w polu! Czyż tu nie pięknie?" Ale Jan obejrzał się jeszcze raz, aby popatrzeć na stary kościół, gdzie chrzcili go niemowlęciem i dokąd chodził co niedziela wraz z ojcem modlić się i śpiewać psalmy. Jan podniósł wzrok na kościelną wieżę i ujrzał kościelnego duszka w czerwonej spiczastej czapeczce wyglądającego z okienka. Osłaniał się on rączką przed blaskiem słońca. Jan skinął mu na pożegnanie, a mały elf powiewał ku niemu czapeczką, kładł rękę na sercu i wiele razy posyłał mu palcami całusa, aby pokazać, jak mu jest życzliwy i jak pragnie, aby Jasiowi dobrze się w drodze powodziło. Jan myślał o tym, ile pięknych rzeczy zobaczy na tym wspaniałym, wielkim świecie, i szedł dalej i dalej do miejsc, w których nigdy nie był. Nie znał miast, przez które wędrował, i nie znał ludzi, których spotykał. Był daleko, między obcymi.

Pierwszej nocy musiał się położyć na stogu siana, gdyż nie miał innego łóżka. Ale to mu się podobało. Nawet król, myślał sobie, nie ma lepiej. Całe pole ze strumykiem, stóg siana i niebieskie niebo, wszystko to było piękną sypialnią. Zielona trawa z małymi, czerwonymi i białymi kwiatkami to był dywan; krzaki bzu i dzikich róż były bukietami kwiatów, jako umywalnia służył mu cały strumyk ze świeżą, przezroczystą wodą, a trzciny kłaniały mu się, mówiąc mu: "dobry wieczór" i "dzień dobry". Księżyc był wspaniałą nocną lampą, zawieszoną wysoko nad błękitnym sufitem, od tej lampy nie zapalały się firanki; Jan mógł zupełnie spokojnie spać, toteż spał, a gdy się obudził, słońce stało już wysoko na niebie i wszystkie małe ptaszki naokoło śpiewały: "Dzień dobry, dzień dobry! Jeszcze nie wstałeś?"

W kościele dzwoniono na nabożeństwo, bo była niedziela. Ludzie szli na kazanie; Jan przyłączył się do nich, śpiewał psalmy, słuchał Bożego słowa i wydawało mu się, że jest w swoim kościele, gdzie był chrzczony i gdzie śpiewał psalmy z ojcem.

Na cmentarzu było wiele mogił, a na niektórych z nich rosła wysoka trawa. Jan przypomniał sobie grób swego ojca, pomyślał, że teraz, kiedy nie będzie mógł oczyszczać go z chwastów i przyozdabiać, grób będzie tak samo wyglądał jak te mogiły. Przykucnął i zaczął wyrywać zielsko, poprawił

drewniane krzyże, które się przewróciły, i zawiesił wieńce zrzucane z grobów przez wiatr; myślał sobie przy tym: "Może ktoś inny tak samo zadba o grób mego ojca, teraz kiedy sam nie mogę tego zrobić."

Przed kościołem stał stary żebrak opierając się na kuli. Jan dał mu wszystkie srebrne pieniądze, jakie miał, i poszedł zadowolony i szczęśliwy w daleki świat.

Pod wieczór nadciągnęła straszna burza. Jan spieszył się, aby ukryć się pod dachem, ale zbliżała się ciemna noc. Przyszedł wreszcie do małego kościółka, stojącego całkiem samotnie na wzgórzu. Drzwi były szczęśliwie otwarte; Jan wszedł do środka, gdyż chciał tam przeczekać niepogodę.

- Usiądę w kącie - powiedział. - Jestem bardzo zmęczony i muszę trochę odpocząć! - Usiadł, złożył ręce, odmówił modlitwie wieczorną i zanim się obejrzał, zasnął, podczas gdy na dworze grzmiało i błyskało.

Kiedy się obudził, była głęboka noc, ale burza przeszła i księżyc zaglądał przez okno. Pośrodku kościoła stała otwarta trumna, leżał w niej umarły, którego jeszcze nie pogrzebali. Jan nie przestraszył się wcale, bo miał czyste sumienie i wiedział, że umarli nie robią nikomu nic złego. Tylko żywi źli ludzie krzywdzą. Tacy właśnie dwaj żywi źli ludzie stali koło trumny z umarłym, którą ustawiono w kościele przed pogrzebem.

Chcieli mu zrobić krzywdę, wyjąć go z trumny i wyrzucić przed kościół tego biednego nieboszczyka.

- Dlaczego chcecie to zrobić? - spytał Jan. - To źle i okrutnie. Dajcie mu w imię Boga spać!

- Nie mów głupstw! - powiedzieli obaj nędznicy. - Oszukał nas. Winien nam jest pieniądze, nie mógł nam ich zapłacić i oto w dodatku umarł, a my nie dostaliśmy ani grosza, chcemy się więc na nim zemścić; niech leży jak pies przed drzwiami kościoła!

- Mam tylko pięćdziesiąt talarów! - powiedział Jan. - To jest cały spadek, jaki dostałem, ale oddam je wam chętnie, jeżeli mi obiecacie, że zostawicie w spokoju tego biednego nieboszczyka. Dam sobie jakoś radę bez pieniędzy, jestem zdrów i silny, i Pan Bóg mi będzie zawsze pomagał!

- Dobrze! - zgodzili się źli ludzie - jeżeli zapłacisz jego długi, nie zrobimy mu żadnej krzywdy, możesz na to liczyć.

Wzięli pieniądze od Jana, śmiali się głośno i szczerze z jego dobroduszości i poszli swoją drogą. A Jan ułożył umarłego na nowo w trumnie, skrzyżował mu ręce, pożegnał się z nim i zadowolony poszedł przez wielki las.

Tam gdzie księżyc przeświecał między drzewami, widział Jan małeńkie, urocze elfy, bawiące się wesoło. Nie przerwały zabawy, wiedziały, że był dobrym człowiekiem, a tylko złym ludziom nigdy nie ukazują się elfy. Niektóre z nich nie były większe od palca, a długie, jasne włosy miały upięte złotymi grzebieniami, kołysały się parami na dużych kroplach rosy, lśniących na liściach i wysokich trawach; czasami kropla spadała, a wtedy i one spadały na ziemię, pomiędzy żdźbła traw, wówczas wśród reszty małych istotek rozbrzmiewał śmiech i gwar. Było to bardzo zabawne.

Elfy śpiewały i Jan poznawał wszystkie piosenki, których się uczył jako mały chłopiec. Wielkie różnobarwne pająki z srebrnymi koronami na głowach przędły od jednego kąta do drugiego długie, powietrzne mosty i pałace, a kiedy padała na nie rosa, wyglądało to w jasnym blasku księżycy jak połyskujące szkło. Tak trwały aż do wschodu słońca. Wtedy małe elfy schowały się do pączków kwiatów, a wiatr zerwał mosty i zamki, które pofrunęły w powietrze jako długie pajęczyny.

Jan wyszedł właśnie z lasu, kiedy usłyszał, że jakiś donośny męski głos woła za nim:

- Hop, hop, towarzyszu! Dokąd to wędrujesz?

- W daleki świat! - powiedział Jan. - Nie mam ani ojca, ani matki, jestem ubogim chłopcem; ale Pan Bóg mi dopomoże!

- I ja także chcę powędrować w daleki świat! - powiedział obcy człowiek. - Może wybierzemy się razem?

- Bardzo chętnie! - rzekł Jan i poszli razem. Polubili się wkrótce bardzo, bo obaj byli dobrymi ludźmi. Ale Jan spostrzegł, że nieznajomy był od niego o wiele mądrzejszy. Znał prawie cały świat i potrafił opowiadać o wszystkim.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy zasiedli pod wielkim drzewem, aby zjeść śniadanie. Wtedy zbliżyła się jakaś staruszka. Była stara i krzywa, opierała się na kuli, na plecach dźwigała wiązki chrustu: zbierała ją w lesie. Jan zobaczył, że w fartuchu miała trzy wielkie różgi z paproci i wierzbowych gałęzi. Gdy była już zupełnie blisko nich, pośliznęła się, upadła i krzyknęła głośno, gdyż złamała nogę. Biedna staruszka!

Jan chciał ją zanieść zaraz do domu, ale nieznajomy otworzył tornister, wyjął z niego słoik i powiedział, że posiada maść, która natychmiast wyleczy i uzdrowi jej nogę, tak że będzie mogła sama pójść do domu, i to tak pewnie, jak gdyby nigdy nie miała złamanej nogi; ale za to żądał, aby mu podarowała trzy różgi, które miała w fartuchu.

- To dobra zapłata! - powiedziała stara i kiwnęła jakoś dziwnie głową; niechętnie rozstawała się ze swoimi różgami, ale nie miała również ochoty leżeć ze złamaną nogą. Dała mu więc różgi i gdy tylko obcy człowiek posmarował jej nogę maścią, staruszka podniosła się i ruszyła w drogę o wiele rażniej niż przedtem. Takie było działanie tej maści. Ale w aptecce takiej maści nie dostaniesz!

- Po co ci te różgi? - spytał Jan swego towarzysza podróży.

- Są to trzy piękne miotły - powiedział. - Podobają mi się, bo jestem dziwakiem!

Potem poszli dalej.

- Patrz no, jak się niebo zaciąga - powiedział Jan i wskazał przed siebie. - Jakie straszne ciężkie chmury.

- Nie! - powiedział towarzysz podróży - to nie są chmury, to są góry, piękne, wielkie góry, tam dopiero wznosi się człowiek ponad chmury, wysoko, wysoko! Wierz mi, tam jest naprawdę pięknie! Jutro będziemy już aż tam, hen w górze!

Do gór nie było tak blisko, jak się zdawało; musieli wędrować cały dzień, żeby dojść tam, gdzie rosły aż do nieba czarne lasy i gdzie były kamienie tak wielkie jak całe miasta. Aby wdrapać się na sam szczyt, trzeba było forsownego marszu; Jan i jego towarzysz poszli do gospody, aby porządnie odpocząć i nabrać sił do wędrowki, jaką mieli przed sobą.

W gospodzie, w wielkiej szynkowej izbie, zebrała się masa ludzi, bo jakiś człowiek pokazywał marionetki. Rozstawił właśnie swój mały teatrzyk, a ludzie usadowili się naokoło, aby zobaczyć widowisko; ale na samym przedzie zasiadł stary, gruby rzeźnik, zajął najlepsze miejsce. Jego wielki buldog - och, jak ten pies złośliwie wyglądał! - usiadł obok niego i wytrzeszczał tak samo oczy jak wszyscy inni.

Przedstawienie się rozpoczęło, a była to śliczna komedia z królem i królową. Siedzieli na aksamitnym tronie, na głowach mieli złote korony i długie treny przy szatach, bo mogli sobie na to pozwolić. Śliczne, drewniane lalki o szklanych oczach stały przy drzwiach, otwierały je i zamykały, aby świeże powietrze miało dostęp do pokoju. Było to naprawdę prześliczne przedstawienie i wcale nie smutne, ale właśnie, kiedy królowa wstała z tronu i przeszła przez pokój, wtedy - Bóg wie, co ten wielki buldog sobie myślał - ale ponieważ gruby rzeźnik wcale go nie trzymał, pies skoczył na środek teatrzyku i schwycił królową za jej smukłą talię, tak że aż zatrzeszczało. To było straszne.

Biedny człowiek, który urządził to przedstawienie, przeraził się, był strasznie zmartwiony tą królową, bo to była jego najładniejsza lalka, a ten szkaradny buldog odgryzł jej głowę. Ale kiedy później ludzie sobie poszli, nieznajomy, który był z Janem, powiedział, że ją uzdrowi; wyciągnął swój słoik i posmarował lalkę maścią, którą uzdrowił starą kobietę, gdy złamała nogę. Jak tylko posmarował lalkę, od razu wyzdrowiała i mogła nawet poruszać członkami, nie trzeba jej było ciągnąć za sznurki; lalka była jak żywy człowiek, tyle tylko, że nie mówiła. Właściciel teatrzyku był bardzo zadowolony, nie trzeba było wcale trzymać tej lalki na sznurku, mogła sama tańczyć, czego żadna inna lalka nie potrafi.

Kiedy nadeszła noc i goście w gospodzie poszli spać, rozległy się głośnie, ciężkie westchnienia; wszyscy zerwali się i pobiegli zobaczyć, kto tak wzdycha. Właściciel teatrzyku poszedł do swoich marionetek, bo z tej strony dochodziły jęki; król, wszyscy trabanci i wszystkie drewniane lalki leżały porozrzucane; to one tak żałośnie jęczały i patrzyły swymi wielkimi szklanymi oczami przed siebie; tak bardzo pragnęły, aby je także posmarować maścią, jak królową, aby się mogły same poruszać. Królowa padła na kolana, podniosła do góry swoją złotą koronę i modliła się: "Zabierz ją, ale posmaruj mego małżonka i moich dworzan!" Wtedy biedny człowiek, właściciel teatrzyku i lalek, nie mógł się powstrzymać od płaczu, bo mu było ich naprawdę żal; obiecał zaraz towarzyszowi Jana, że da mu wszystkie pieniądze, jakie miał uzyskać następnego wieczoru za swoje przedstawienie, byle tylko zechciał posmarować maścią cztery lub pięć najładniejszych lalek, ale towarzysz Jana powiedział, że nie żąda niczego, prócz dużej szabli, którą ten człowiek miał u

boku; a kiedy szablę dostał, posmarował sześć lalek, zaczęły one natychmiast tańczyć, i to tak ślicznie, że wszystkie żywe dziewczynki, patrząc na to, tańczyły razem z nimi. Tańczył stangret i kucharka, służący i pokojówka, wszyscy obcy ludzie, tańczył pogrzebacz i łopata do węgla, które przewróciły się przy pierwszym podskoku - to była dopiero wesoła noc!

Na drugi dzień rano Jan i jego towarzysze porzucili wszystkich i poszli sobie daleko, w góry, przez wielkie sosnowe lasy. Doszli tak wysoko, że wieże kościelne wyglądały w dole wśród zieleni jak czerwone jagódki, mogli widzieć na odległość wielu, wielu mil miejsca, w których nigdy nie byli. Nigdy jeszcze nie widział Jan naraz tyle pięknych rzeczy tego cudownego świata, a słońce grzało tak mocno na błękitnym niebie, a rogi myśliwskie grały tak pięknie wśród gór, że oczy jego napełniły się łzami radości i nie mógł się powstrzymać, aby nie powiedzieć:

- Dobry, kochany Boże! Chciałbym Cię całować za to, że jesteś taki dobry dla nas wszystkich, za to, że dałeś nam te wszystkie cuda świata!

Towarzysz podróży stał również ze skrzyżowanymi rękami i patrzył poprzez ciepłe promienie słoneczne na las i miasta. Nagle posłyszeli nad swoimi głowami jakiś cudownie piękny śpiew; wielki, biały łabędź kołysał się w powietrzu; był tak piękny i śpiewał tak, jak żaden inny ptak nigdy nie śpiewał, ale jego śpiew stawał się coraz słabszy, słabszy, łabędź pochylił głowę i upadł z wolna do ich stóp. Piękny ptak zakończył życie.

- Takie dwa piękne skrzydła! - powiedział towarzysz Jana. - Takie dwa wielkie skrzydła, tak białe i tak wielkie, warte dużo pieniędzy, wezmę je z sobą. Widzisz, jak to dobrze, że mam szablę! - I jednym uderzeniem odciął łabędziowi oba skrzydła, które tak bardzo chciał mieć.

Wędrowali więc wiele, wiele mil przez góry, aż w końcu przyszedli do wielkiego miasta, które miało przeszło sto wież, połyskujących w słońcu jak srebro. Pośrodku miasta stał wspaniały murowany zamek pokryty szczerym złotem. Tu mieszkał król.

Jan i towarzysz nie weszli od razu do samego miasta, tylko zatrzymali się w gospodzie na przedmieściu, aby się trochę ogarnąć, bo chcieli porządnie wyglądać, kiedy się pokażą na ulicy. Gospodarz opowiadał im, że król jest bardzo dobrym człowiekiem, nie robi nikomu nic złego, ale jego córka, Boże broń nas przed nią, jest bardzo złą księżniczką. Na urodzie jej nie zbywa, nikt nie jest tak piękny i pociągający jak ona, ale cóż to znaczy, kiedy jest złą czarownicą, przez którą musiało zginąć tylu pięknych księży. Wszystkim ludziom pozwoliła starać się o swą rękę, może to być książę lub żebrak, wszystko jej jedno, musi tylko odgadnąć trzy rzeczy, o które pyta. Jeżeli potrafi odpowiedzieć na trzy pytania, wyjdzie za niego za męża, i ten szczęśliwiec po śmierci jej ojca zostanie królem całego kraju; ale jeżeli nie umie zgadnąć tych trzech rzeczy, każe go powiesić albo odciąć mu głowę. Taka zła i okrutna jest ta księżniczka!

Jej ojciec, stary król, martwi się tym bardzo, ale nie może jej zabronić, bo raz jej powiedział, że nie chce się wtrącać do sprawy jej małżeństwa, może sama robić, co zechce. Więc robi, co jej się podoba. Co jakiś czas zjawia się jakiś książę i chce odgadywać zagadki, aby ożenić się z księżniczką; nie udaje mu się i oddaje głowę pod topór albo idzie na szubienicę - a przecież ostrzega się go, aby nie ubiegał się o księżniczkę. Stary król tak jest zmartwiony tym smutkiem i nieszczęściem, że raz na rok cały dzień klęczy wraz ze swymi żołnierzami i modli się, aby księżniczka się poprawiła, ale ona nie chce. Stare kobiety, które piły wódkę, pofarbowały ją na znak żałoby na czarno, a więcej nie mogły już nic zrobić.

- Wstrętna księżniczka! - powiedział Jan. - Powinna dostać różgą, to by jej dobrze zrobiło. Gdybym ja był starym królem, zbiłbym ją do krwi!

Nagle usłyszeli, jak ludzie na ulicy krzyczeli: "Hura!" To księżniczka przejeżdżała tamtędy, a była tak piękna, że wszyscy zapominali, że była taka zła, i dlatego wołali: "Hura!" Dwanaście pięknych dziewczic w białych, jedwabnych sukniach, ze złotymi tulipanami w rękach, jechało u jej boku na czarnych jak węgiel koniach. Sama księżniczka miała śnieżnobiałego rumaka ozdobionego diamentami i rubinami; suknię ze szczerego złota, a różgą, którą trzymała w ręku, wyglądała jak promień słońca; złota korona na jej głowie, jak małe gwiazdeczki błyszczące wysoko na niebie, a jej płaszcz był uszyty z przeszło tysiąca skrzydeł motyli, ale ona sama była o wiele ładniejsza od najpiękniejszych swoich szat.

Kiedy Jan ją zobaczył, twarz jego pokryła się purpurą i nie mógł wymówić ani słowa. Księżniczka wyglądała zupełnie tak jak piękna dziewczyna w złotej koronie, która mu się śniła tej nocy, kiedy umarł ojciec. Uważał, że jest tak cudownie piękna, że nie może jej nie kochać. To na pewno nieprawda, że jest taką złą czarownicą, która każe ludzi wieszać lub ścinać im głowy, kiedy nie mogą odgadnąć tego, czego od nich żąda.

- Każdy może przecież starać się o jej rękę, nawet najuboższy żebrak; chcę koniecznie pójść na zamek, tak już musi być!

Wszyscy mu mówili, aby tego nie robił, powiedzie mu się na pewno tak jak innym. Towarzysz podróży odradzał mu także, ale Jan wierzył, że mu się powiedzie; oczyścił buty i ubranie, umył twarz i ręce, uczesał piękne jasne włosy i poszedł zupełnie sam do miasta, na zamek.

- Proszę! - powiedział stary król, kiedy Jan zapukał do drzwi. Jan wszedł. Stary król w szlafroku i haftowanych pantoflach wyszedł naprzeciw niego, na głowie miał złotą koronę, w jednej ręce trzymał berło, a w drugiej królewskie jabłko. - Poczekaj chwilę - powiedział i wziął jabłko pod pachę, aby podać Janowi rękę. Ale gdy tylko usłyszał, że Jan jest konkurentem, zaczął tak płakać, że berło i jabłko upadły na ziemię, a król musiał wytrzeć oczy połą szlafroka. Biedny, stary król.

- Nie rób tego - prosił - skończysz tak samo jak wszyscy inni. Spójrz tylko! - I zaprowadził Jana do ogrodu księżniczki, i pokazał mu straszny widok. Wysoko na każdym drzewie

wisiało po trzech, czterech królewskich synów, którzy ubiegali się o rękę księżniczki, a nie odgadli zagadek, jakie im zadawała. Za każdym powiewem wiatru szczękały ich kości, tak że ptaszki przerażone nie odważyły się przylatywać do tego ogrodu; wszystkie kwiaty były przywiązane do ludzkich kości, w doniczkach stały trupie głowy i szczyrzyły zęby. To był dopiero książęcy ogród!

- Widzisz, miałem rację! - powiedział stary król. - To samo będzie z tobą, co ze wszystkimi innymi, których tu widzisz; więc porzuć ten zamiar. Czynisz mnie nieszczęśliwym, bo tak bardzo biorę to sobie do serca.

Jan pocałował starego, dobrego króla w rękę i powiedział, że wszystko będzie dobrze, bo on tak bardzo kocha śliczną księżniczkę.

Wkrótce księżniczka razem ze swoimi wszystkimi damami dworu wjechała na podwórze zamkowe; wyszli więc do niej i przywitali się. Była naprawdę bardzo piękna, podała Janowi rękę, a on pokochał ją jeszcze mocniej niż przedtem; na pewno nie była złą czarownicą, tak jak o niej mówili ludzie. Poszli na górę do salonu, a mali paziowie podawali im konfitury i pierniki, ale stary król był taki smutny, że nie mógł jeść, zresztą pierniki były dla niego za twarde.

Postanowiono, że Jan przyjdzie na drugi dzień do zamku, bo zbiorą się wtedy sędziowie i cała rada i będą słuchali, jak Jan wywiąże się ze zgadywania zagadek. Jeżeli mu się dobrze powiedzie, musi przyjść jeszcze dwa razy, ale dotychczas nikt nie odgadł pierwszej zagadki i każdy na tym stracił życie.

Jan nie martwił się wcale, nie troszczył się o to, jak mu się powiedzie, przeciwnie, był zadowolony, myślał tylko o pięknej księżniczce i wierzył mocno, że Pan Bóg mu dopomoże; ale jak, tego sam nie wiedział i wcale nie chciał o tym myśleć. Tańczył na drodze wracając do gospody, gdzie go oczekiwał towarzysz podróży.

Jan nie mógł dość naopowiadać jaka księżniczka była dla niego miła i jaka jest piękna; tęsknił już do następnego dnia, kiedy przybędzie na zamek, aby spróbować szczęścia w rozwiązywaniu zagadek.

Ale towarzysz podróży kiwał głową i był bardzo zmartwiony.

- Kocham cię tak bardzo! - powiedział. - Moglibyśmy jeszcze tak długo być razem, a oto muszę cię utracić! Biedny, drogi Janie! Płakałbym, ale nie chcę ci psuć radości może ostatniego wieczora, który spędzamy razem. Weselmy się dzisiaj, weselmy całą duszą! Jutro, kiedy ciebie nie będzie, będę mógł płakać do woli.

Wszyscy ludzie w mieście zaraz się dowiedzieli, że jest nowy konkurent do ręki księżniczki, i z tego powodu panowało wielkie przygnębienie. Teatr został zamknięty, cukiernicy obwiązali prosięta z cukru czarną krepą, król i księża leżeli krzyżem w kościele, panowała wielka rozpacz, bo Janowi nie mogło się lepiej powieść niż wszystkim innym konkurentom.

Przed wieczorem towarzysz Jana przygotował dużą wazę ponczu i powiedział Janowi, że będą się bawić i pić za

zdrowie księżniczki. Ale kiedy Jan wypił dwie szklanki ponczu, poczuł taką senność, że oczy mu się skleiły same i pograżył się w głębokim śnie. Jego towarzysz podniósł go ostrożnie z krzesła i położył do łóżka, a że już zapadła ciemna noc, wziął dwa wielkie skrzydła, które obciął łabędziowi, przywiązał je sobie mocno do ramion, schował do kieszeni największą różgę, jaką dostał od staruszki ze złamaną nogą, otworzył okno i pofrunął nad miastem aż do zamku, gdzie usadowił się w kącie pod oknem sypialni księżniczki.

W mieście było cicho; kiedy zegar wybił trzy kwadransy na dwunastą, otworzyło się okno i księżniczka w białym płaszczu z czarnymi, długimi skrzydłami wyleciała nad miasto aż na wysoką górę; towarzysz Jana zrobił się niewidzialny, tak że księżniczka wcale go nie mogła zobaczyć, i leciał za nią okładając ją różgą tak mocno, że z każdego miejsca, w które trafił, tryskała krew. Och, cóż to była za jazda przez powietrze, wiatr wzdymał na wszystkie strony płaszcz księżniczki jak olbrzymi żagiel, a księżyc prześwietlał wydęte szaty.

- Jaki grad, jaki grad! - mówiła księżniczka za każdym uderzeniem różgi, a było to dla niej bardzo zdrowo. Wreszcie przyleciała ku górze i zapukała. Wtedy jakby zagrzmiało, góra się otworzyła, księżniczka weszła, ale towarzysz Jana szedł obok niej, nikt go przecież nie mógł ujrzeć, był niewidzialny. Szli przez duży, długi korytarz, gdzie ściany błyszcząły cudownie, ponad tysiąc płomiennych pajaków, które pełzały po murach w górę i w dół, świeciło jak ogień. Weszli do dużej sali, całej zbudowanej ze złota i srebra, czerwone i niebieskie kwiaty, tak duże jak słoneczniki, kwitły na ścianach, ale nikt nie mógł ich rwać, bo łodygi tych kwiatów były wstrętными, jadowitymi węzami, a kwiaty były z ognia, który buchał im z gardzieli. Cały sufit pokryty był błyszczącymi świętojańskimi robaczkami i błękitnymi nietoperzami, które trzepotały cienkimi skrzydłami; wyglądało to bardzo dziwnie. Pośrodku sali stał tron wsparty na czterech rumakach, których uprzęż była z ognistych pajęczyn. Sam tron był z mlecznobiałego szkła, a poduszki, na których się siedziało, zrobione były z małych, czarnych myszy, które gryzły się w ogony. Na samej górze kołysał się dach z różowej pajęczyny, wśród której maleńkie, zielone muszki połyskiwały jak kosztowne kamienie. Pośrodku sali na tronie siedział stary czarodziej, w koronie na potwornej głowie i z berłem w ręku. Pocałował księżniczkę w czoło i zaprosił ją, aby usiadła obok niego na kosztownym tronie, po czym rozpoczęła się muzyka. Wielkie, czarne koniki polne grały na harmonijce, a sowa uderzała się w brzuch, bo nie miała bębna. Był to zabawny koncert. Maleńkie chochliki z błękitnymi ognikami na czapkach tańczyły dokoła sali. Nikt nie widział towarzysza Jana, który ukrył się za tronem i widział, i słyszał wszystko. Dworzanie, którzy tam weszli, byli bardzo wykwintni i eleganccy, ale kto im się uważnie przyjrzał, widział, co to byli za jedni. Byli to kije od szczotek, z główkami kapusty; czarownik wlał w nie życie i ubrał w haftowane szaty. Ale było to przecież obojętne, używano ich tylko od parady.

Trochę potańczono i potem księżniczka zaczęła opowiadać czarodziejowi, że ma nowego konkurenta, i spytała go, jakie ma wymyślić pytania dla tego młodzieńca, który jutro przybędzie na zamek.

- Posłuchaj - powiedział czarodziej. - Powiem ci coś! Musisz wymyślić coś łatwego, bo to mu nie przyjdzie do głowy. Pomyśl o twoim trzewiku! Tego nie zgadnie. A potem każ mu obciąć głowę, ale nie zapomnij, kiedy tu jutro przyjdiesz, przynieść mi jego oczu, żebym je zjadł!

Księżniczka złożyła mu głęboki ukłon i powiedziała, że nie zapomni o oczach. Troll* otworzył znowu górę i księżniczka pofrunęła do domu, a towarzysz Jana leciał za nią i bił ją tak mocno różgą, że bardzo się skarżyła na grad i śpieszyła się, jak tylko mogła, aby wrócić przez okno do swej sypialni; towarzysz Jana pofrunął z powrotem do gospody, gdzie spał Jan, odwiązał skrzydła i położył się do łóżka, bo chyba mógł być zmęczony.

Jeszcze było zupełnie rano, a Jan już się obudził; jego towarzysz również wstał i opowiedział mu, jaki dziwny sen śnił mu się tej nocy o księżniczce i jej trzewiku, i z tego powodu prosił go, aby spytał księżniczkę, czy pomyślała o swoim trzewiku. Słyszał przecież, jak troll na górze mówił o tym, ale nie chciał mówić tego Janowi, a tylko prosił go, aby spytał, czy księżniczka nie pomyślała o swoim trzewiku.

- Mogę równie dobrze spytać o to, jak o coś innego - powiedział Jan - może to prawda ci się wyśniła, bo wierzę w to, że mi pomaga Pan Bóg! Ale jednak muszę się z tobą pożegnać, bo jeżeli źle odgadnę, nie zobaczę cię już nigdy.

I potem pocałowali się, a Jan wszedł do miasta i udał się na zamek. Cała sala była pełna ludzi, sędziowie siedzieli w fotelach, a pod głowami mieli poduszki z łabędziego puchu, bo musieli dużo myśleć. Stary król wstał, otarł sobie oczy białą chusteczką. Weszła księżniczka. Była jeszcze o wiele piękniejsza niż poprzedniego dnia i pozdrowiła wszystkich serdecznie, a Janowi podała rękę i powiedziała:

- Dzień dobry!

I oto miał Jan zgadywać, o czym sobie pomyślała. Mój Boże, jakże łaskawie na niego patrzyła! Ale gdy tylko wymówił słowo "trzewik", stała się blada jak kreda, zdrząła na całym ciele. Nic jej to jednak nie pomogło, bo Jan dobrze odgadł.

Do kroćset. Jakże się ucieszył stary król. Fiknął koziołka, a wszyscy ludzie klaskali w ręce na cześć jego i Jana, który po raz pierwszy odgadł trafnie zagadkę.

Towarzysz Jana promieniał radością, kiedy się dowiedział, że wszystko się dobrze odbyło, a Jan złożył ręce i dziękował Bogu, który mu na pewno i w obu następnych wypadkach pomoże. Na drugi dzień miał znowu zgadywać.

Wszystko było tak samo jak poprzedniego wieczora. Kiedy Jan zasnął, jego towarzysz poleciał za księżniczką na górę i bił ją jeszcze mocniej niż poprzedniej nocy, bo wziął tym razem dwie różgi. Nikt go nie zauważył i znowu wszystko słyszał. Księżniczka miała myśleć o swojej rękawiczce. Opowiedział Janowi, że mu się to wyśniło. Jan

znowu trafnie odgadł i wielka radość zapanowała w zamku. Cały dwór fikał koziołki, tak jak król za pierwszym razem; ale księżniczka leżała na kanapie i nie chciała powiedzieć ani jednego słowa. Przyszła wreszcie chwila, kiedy Jan miał po raz trzeci zgadywać. Gdyby mu się powiodło, dostałby piękną księżniczkę i odziedziczyłby całe królestwo po śmierci starego króla, gdyby nie zgadł, straciłby życie, a czarownik dostałby na pożarcie jego piękne, niebieskie oczy.

Poprzedniego wieczora poszedł Jan wcześniej spać, odmówił swoją wieczorną modlitwę i zasnął spokojnie. Ale jego towarzysz przywiązał sobie do ramion skrzydła, przypasał do boku szablę, wziął wszystkie trzy różgi i poleciał do zamku.

Była grobowa ciemna noc; szalała taka burza, że dachówki spadały z domów, a drzewa w ogrodzie, gdzie wisiały szkielety, wyginały się jak trzciny na wietrze. Co chwila błyskało i grzmiało bez przerwy, jakby przez całą noc trwał jeden jedyny grzmot. Wtem otworzyło się okno sypialni i księżniczka wyfrunęła przez nie; była blada jak trup, ale śmiała się z brzydkiej pogody, uważała, że jeszcze było nie dość brzydko; jej biały płaszcz powiewał na wicherze jak wielki żagiel. Towarzysz Jana smagał ją tak mocno trzema różgami, że krew spływała na ziemię i księżniczka zaledwie mogła lecieć. W końcu jednak przyleciała na górę.

- Straszna burza i grad - powiedziała do czarownika. - Nigdy jeszcze nie byłam na dworze w taką pogodę.

- Dobrego nigdy nie za dużo! - powiedział czarownik. A księżniczka opowiedziała mu, że Jan i za drugim razem odgadł trafnie; o ile uda mu się jutro odgadnąć, nigdy nie będzie mogła przylecieć do niego na górę, nie będzie już więcej mogła robić takich czarodziejskich sztuk jak przedtem; z tego powodu była bardzo zmartwiona.

- Trzeba tak zrobić, żeby nie mógł zgadnąć - powiedział czarodziej - już ja wymyślę coś takiego, o czym on jeszcze nigdy nie pomyślał; inaczej musiałby być większym czarodziejem niż ja. Ale teraz bawmy się!

Schwycił księżniczkę obiema rękami i tańczyli razem ze wszystkimi chochlikami i błędnymi ognikami, które znajdowały się na sali. Czerwone pająki skakały tak samo wesoło po ścianach i wyglądało to zupełnie, jak gdyby z ognistych kwiatów leciały iskry. Sowa uderzała w bęben, świerszcze cykały, a duże koniki polne grały na organkach. Był to wesoły bal!

Kiedy już się wytańczyli, księżniczka musiała wrócić do domu, bo spostrzegliby na zamku jej nieobecność. Czarodziej powiedział, że ją odprowadzi, żeby być z nią trochę dłużej razem.

Polecieli więc podczas strasznej niepogody, a towarzysz podróży bił ich w plecy trzema różgami; nigdy jeszcze nie był czarodziej na dworze w tak straszną gradową burzę. Przed zamkiem pożegnał się z księżniczką i jednocześnie szepnął jej: "Myśl o mojej głowie!" Ale towarzysz Jana usłyszał dobrze i w chwili gdy księżniczka wskakiwała przez okno do swojej sypialni, a czarodziej chciał zawrócić, schwycił go za długą, czarną brodę i obciął mu szablą jego wstrętną głowę u

samej szyi, tak że czarodziej nawet tego nie zauważył, ciało rzucił do jeziora na pożarcie rybom, a głowę zanurzył tylko w wodzie, potem obwiązał ją swoją jedwabną chusteczką, zabrał ze sobą do gospody i położył się spać.

Nazajutrz rano dał Janowi zawiniątko, ale powiedział mu, aby nie odwiązywał go wcześniej, zanim księżniczka nie zapyta, o czym myśli.

W wielkiej sali zamkowej było tak wiele ludzi, że stali jeden przy drugim jak rzodkiewki związane w pęczek. Rada siedziała w fotelach z miękkimi poduszkami pod głowami, a stary król miał na sobie nowe szaty, złota korona i berło były wyczyszczone i wyglądało to wszystko bardzo uroczyście i wspaniale; ale księżniczka była bardzo blada, miała na sobie suknię czarną, czarną jak węgiel, jakby szła na pogrzeb.

- O czym pomyślałam? - spytała Jana, który natychmiast rozwiązał chustkę i sam się przeraził, gdy zobaczył potworną głowę czarodzieja. Wszystkimi wstrząsnął dreszcz, gdyż był to straszny widok; ale księżniczka siedziała jak skamieniała i nie mogła wymówić ani jednego słowa; wreszcie wstała, wyciągnęła do Jana rękę, bo odgadł przecież zagadkę! Nie patrzyła ani w prawo, ani w lewo, tylko głęboko westchnęła:

- Teraz jesteś moim panem! Dziś wieczorem będzie nasze wesele!

- To mi się podoba! - powiedział stary król. - Tak powinno być! - wszyscy krzyčili "hura!", muzyka wojskowa grała na ulicy, biły dzwony, a cukiernicy zdjęli z cukrowych świnek czarną krepe, bo teraz zapanowała radość. Na rynku wystawiono trzy pieczone woły, nadziane kaczkami i kurami; każdy mógł sobie kawałek odkrajać. Z fontanny lało się najlepsze wino, a gdy kupował kto u piekarza za grosz obwarzanek, dostawał w dodatku sześć dużych bułek, i to bułek nadzianych rodzynkami.

Wieczorem całe miasto było iluminowane, żołnierze strzelali z armat, chłopcy z kapiszonów, a na górze wszyscy jedli i pili, wznosili toasty, skakali i płaśali, a w twornici panowie z pięknymi paniami tańczyli para za parą. Już z daleka słychać było, jak śpiewali:

Piękne dziewczęta tańczą wkoło,
Tańczą prześlicznie i wesoło
Pod trąb i bębnow różne tony.
Skaczą, płaśają na wsze strony.
Tańczcie wesoło, tańczcie dopóty,
Aż bez podeszew zostaną buty.

Ale księżniczka była jeszcze czarownicą i wcale nie kochała Jana; pomyślał o tym jego towarzysz; dał Janowi trzy pióra ze skrzydeł łabędzia i małą butelkę, w której było parę kropeł; powiedział mu, aby postawił obok łóżka żony duże naczynie z wodą, i kiedy księżniczka będzie wchodzić do łóżka, trącił ją tak, żeby wpadła do wody; wtedy powinien ją trzy razy zanurzyć; przedtem wrzucić do wody pióro i wlać krople, a wówczas księżniczka zostanie odczarowana i pokocha go naprawdę.

Jan zrobił wszystko, jak mu poradził jego towarzysz. Księżniczka krzyczała głośno, kiedy ją zanurzał w wodzie i zmieniła mu się w rękach w dużego, czarnego łabędzia o

błyszczących oczach; kiedy po raz drugi wyjął ją z wody, była białym łabędziem, tylko na szyi miała wąski, czarny pierścień. Jan pomodlił się do Pana Boga i zanurzył ptaka po raz trzeci w wodzie; w tej samej chwili ptak przemienił się w piękną księżniczkę. Była jeszcze ładniejsza niż przedtem i dziękowała mu ze łzami w pięknych oczach za to, że ją odczarował.

Nazajutrz przyszedł król wraz z całą świtą i powinszowania trwały przez cały dzień. Na końcu przyszedł towarzysz Jana. W rękę trzymał kij, a na plecach miał tornister. Jan całował go wiele razy i prosił go, aby nie odchodził i przy nim został, bo jemu przecież zawdzięcza całe swoje szczęście. Ale towarzysz Jana potrząsnął głową i powiedział łagodnie i serdecznie:

- Nie, mój czas już się skończył! Spłaciłem tylko moje długi. Czy przypominasz sobie umarłego, któremu źli ludzie chcieli zrobić krzywdę? Dałeś mu wszystko, co miałeś, aby miał spokój w grobie. Ja jestem tym zmarłym.

W tej samej chwili znikł.

Wesele trwało cały miesiąc. Jan i księżniczka kochali się z całego serca, a stary król przeżył jeszcze wiele radosnych dni, ich małe dzieci jeździły konno na jego kolanach i bawiły się jego berłem. A Jan został królem całego kraju.